

Rok IV.
Kraków, dnia 4 września 1910 r.
Nr. 36.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 3o halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Krzepmy moc ducha!

Gdy przeglądniemy historyę narodów, to zobaczymy, iż narody, nie rozwijające tężyzny ducha, upadały, karłowaciały i jeżeli do dziś dnia jeszcze istnieją, to nie odgrywają wielkiej roli. Przeciwnie narody posiadające silnego ducha, pomimo chwilowego upadku podnosiły się z czasem i wracały do dawnego znaczenia i potęgi.

Gdyby naród polski w okresie prześladowań i ucisku potrójnego nie miał w sobie mocy ducha, uledzby musiał sile pięści i zmarnieć, rozpływając się w morzu niemieckiem i rosyjskiem. Potędze naszej moralnej — tej niespożytej sile ducha — zawdzięczyć możemy, że jesteśmy narodem, jakkolwiek pozbawionym wolności politycznej, jednak posiadającym wszelkie dane do rozwoju i życia.

Moc ducha utrzymała w nas miłość Ojczyzny, język i obyczaje polskie, i ona też podtrzymuje w nas niezachwianą wiarę w przyszłość i jest bodźcem do pracy nad odrodzeniem narodu. Moc ta utrzyma nas i ocali od upadku, bo dopóki duch narodu nie jest pojony u zatrutego zdroju, ten naród żyje jako taki mimo niewoli politycznej i prześladowań najsroższych.

Ale nie wystarczy samo stwierdzenie, że tę siłę ducha posiadamy, lecz trzeba starać się wszelkimi sposobami, aby ją wzmacniać, potęgować i do szczytu doprowadzić. A trzy są drogi do tego. z których każda prowadzi do jednego celu. Są nimi: nauka, czytanie gazet i książek, oraz słuchanie odczytów i wykładów.

Ze smutkiem trzeba to jednak stwierdzić, że wszystkie te trzy drogi zarastają u nas jeszcze chwastami i trudno na nie braci naszych wprowadzić.

Przypatrzmy się najpierw nauce! Oto idzie nowy rok szkolny. Podwoje oświaty — szkoły — otwierają się i wzywają do siebie dziatwę, aby ją kształcić, aby wzmacniać w niej ducha. Z jakąż boleścią trzeba spoglądać na wpisy do szkoły. Ileż to jest wiosek, w których matki idą nie po to, aby prosić o przyjęcie dziecka na naukę, ale po to, by je od uczęszczania uwolnić. Używają różnych kruczków, żeby tylko nauczyciela wyprowadzić w pole i uwolnienie uzyskać. Po trzydniowych wpisach nauczyciel wyczerpany zabiera się do pracy z obawą, czy też choć połowa dzieci zapisanych przyjdzie do szkoły?

Niejednemu przychodzi zapewne na myśl pytanie: »Dlaczego lud nasz tak stroni od szkoły? Prawie każdy zapytany o to odpowie:

— Jabym ta chętnie posyłał dziecko do szkoły, ale jest ono mi potrzebne do pasienia i roboty! — Co za krótkowzroczność u ludu naszego! Za chwilową korzyść z pasienia poświęca oświatę dziecka swojego i tępi moc jego ducha!

Przy zbliżającym się roku szkolnym porzućmy tę niechęć do szkoły, ale posyłajmy tam nasze dzieci, bo szkoła daje podstawę dobrobytu narodu.

Druga droga, to czytanie gazet. I tu ze smutkiem stwierdzić należy, że na tem polu kulejemy ogromnie, a najbardziej kulejemy w Galicyi. W krajach zachodnio-europejskich niema domu bez gazety, a ileżby u nas wsi naliczył, w których przez cały rok ona nie zabłądzi. Pod tym względem daleko lepiej jest w Poznańskiem. Tam gazety ludowe liczą po kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów, a mądrzejsi gospodarze poczytują sobie za obowiązek zachęcać sąsiadów do czytania. Wskutek tego tam moc ducha wielka a z nią i dobrobyt większy niż u nas. Za przykładem sąsiednich narodów i braci naszych w Poznańskiem powinniśmy sobie wziąć za cel naszej pracy narodowej, aby w żadnym domu nie brakło uczciwej gazetki, pisanej w duchu narodowym i katolickim.

Niechże i trzeciej drogi: odczytów i wykładów nie otacza oziębłość, ale, gdzie tylko one mają miejsce, uczęszczajmy na nie chętnie i licznie.

Krzepmy w sobie moc ducha a przyjdą lepsze czasy!

Krzyżacy na Litwie.

XXXIX. WIESZCZEK.

Kłopoty komtura i Heleny. — Nieporządek w obozie. — Wesoły staruszek. — Jego sława wróżbiarska. — Radziejka przed komturem. — Rady wróżbiarza. — Pierścionek czarodziejski. — Odmiana Pojaty.

Dokładniejsze wyrozumienie gońca i jego na dworze polskim spostrzeżeń dało Sundsteinowi po znać, iż mu daleko mniej czasu i łatwości zostaje do spełnienia przedsięwziętych zamiarów, niźli się spodziewał. Hamilon ciągle się opierał z poddaniem zamków; przeor malborski coraz bardziej na jego bezczynność nastawał; Pojata im go więcej zajętym sobą widziała, tem większą czując odrazę, śmielej mu się stawiła. Daremne były jego zapewnienia przyjęcia religii litewskiej i bronienia jej przeciw Polakom, jego przysięgi i oświadczenia najczulsze. Branka o niczem wiedzieć nie chciała i ciągle tylko domagając się odesłania swego do ojca, żadnej Krzyżakowi nadziei nie zostawiała.

Tak niepomyślne zabiegi, przywodząc go do ostateczności, często były przyczyną, że wychodząc z granic winnego względu i uszanowania, srogiemi ją dręczył pogróżki; wytrzymywała z mężnym oporem wszystkie te napaści nieszczęśliwa Pojata, jedyną znajdując pociechę w wierności swej sługi, dobrej ciwunowej, która dzieląc jej zmartwienia, nieodstępną jej zawsze była towarzyszką.

Ale i Helena, chociaż tak przemożna i śmiała, nie była od niej szczęśliwszą; dumna wdziękami i chwałą wyniesienia na tron Jagiełły, ujrzała się nagle zniżoną do stanu pochlebiania jednej niewolnicy, ażeby ją zniewoliła do tego, któregoby rada była własnemi wdziękami uwięzić. Tymczasem Dowojna, jej narzeczony, nietylko nie wracał, lecz najmniejszej o sobie wiadomości nie dawał, trapiły ją prócz tego i domowe okoliczności. Dom jej, pełen zawsze zbrojnych zakonników, był miejscem schadzek dowódców, przełożonych Zakonu, gdzie rady i częste spory nieznośnym ją gwarem dręczyły, gdy tymczasem straż, wokoło baszty czuwająca, nie dozwalała jej prawie progu przestąpić. Powiększał ten niesmak zły humor komtura, który ciągle od Pojaty źle przyjmowany, obwiniając Helenę o złe jego sprawie służenie, coraz widoczniej dawał jej poznać swą niechęć. Z drugiej strony Habdank, przywiedziony do ostatniej niecierpliwości, nie przestawał coraz dotkliwiej córki obwiniać, jako przyczynę wszystkich tych kłopotów i nieprzyjemności.

Tymczasem w obozie coraz się większy nieład dawał spostrzegać. Żołnierz, mało wchodząc w widoki wodza, z oburzeniem patrzył na związki jego z litewskimi pany, których domy i majątki, od napadów zabezpieczone, nie dostarczały mu pożądanej łupieży. Lud wiejski, ośmielony zaczął pomału wychodzić z puszcz i zarośli, i tyle nabrał odwagi, że się nawet do obozu zbliżając, zamieniał w nim strawę i trunek za broń zużytą lub kawałki żelaza. Przy takiem osłabieniu porządku łatwo tam można było spotkać różnego rodzaju ludzi, zwiedzających namioty i szałasy, kramarzy, cyganów, szynkarzów i żydów, którzy bądź dla zysku, bądź przez ciekawość, ciągle napełniając obozy, czynili z nich miejsce targów, zabaw i hulanki.

Między wielu innymi najczęściej dawał się tam widzieć siwy, niewielki staruszek, który z kijem w ręku, a kobiałką na plecach, przebiegając w różnych częściach obóz, zdał się szukać jakiejś zguby, zatrzymywał się przed namiotami, kiwając głową, a rozgniewany na komtura, już mu złorzeczył, już oświadczał życzenie jak najprędszego z nim widzenia się, lecz gdy nie mógł go spotkać, starał się tymczasem wejść w zażyłość z obozowym ludem. Z jednymi grał w kości i chętnie do nich przegrywał, z drugimi pił, śpiewał, hulał i tańcował, innym prawił bajki dowcipne i odkrywał cuda przyrodzenia, słowem, gdzie się tylko ucieszny Radziejko obrócił, tam można było najliczniejsze znaleźć towarzystwo.

Ale najistotniejszym jego przymiotem, który darem nieba nazywał, była sztuka wróżenia. Rzadki wprawdzie był ten szczęśliwy, któremuby odkrył jego losu tajniki, gdyż utrzymywał, że to go zawsze wiele kosztuje, lecz jeśli komu raczył tę przysługę uczynić, tak trafne z przeszłości jego wywodził wnioski, tak pożądane kreślił widoki, że jeśli nie zawsze odpowiedzią ucieszył, nigdy nie stracił na sławie najbieglejszego wróżbiarza. Znał się prócz tego na ziołach leczących, umiał broń nieprzyjacielską zamawiać i wiedział, które dni w roku są komu szczęśliwe. A gdy inni wieszczbiarze, do swej sztuki przystępując, starali się naprzód trwogą przejąć, on zawsze wesołą postawą ufność wzbudzał i czy dolę, czy złe wróżył przygody, nigdy nie odbierał nadziei i zawsze podawał sposoby uniknienia złego.

Doszła rychło sława tak dzielnego mistrza do wiadomości Sundsteina. Najwięcej on w swoim stanie udręczeń zastanawiał się nad użytecznością jego sztuki i często rad w towarzystwie mieszkańców baszty rozmawiał o dziełach Radziejki i jego szczególnym sposobie wróżenia. Słuchała go ze zwykłą obojętnością Pojata, lecz Helena nie mogła przenieść na sobie, aby mu uczuć nie dała, że ją wcale nie bawią takie rozmowy, jednakże komtur codzień więcej słysząc o wziętości wróżbiarza, zapragnął nakoniec go poznać i kazał mu stanąć przed sobą. Przyszedł nieustraszony starzec, oświadczając radość ze sposobności zbliżenia się do niego. Policzki rumiane, oczy śmiejące się, broda biała, cała postać ożywiona odwagą, przytem ubiór dziwaczny, niezmiernie uderzyły komtura.

— Jakim prawem wtrąciłeś się do mego obozu? — zapytał go z góry.

— Prawem własności — odpowiedział starzec — radbym także wiedział, jakiem prawem wasz obóz do mnie się wtrącił?

— Czy mnie nie rozumiesz? — ponowił komtur — chcę wiedzieć, co możesz mieć do czynienia pośród mego wojska?

— Ja cudzego nie pragnę, niech sobie tu chrześcijanin, czy Litwin panuje, nic na to nie powiem, ale mojego na włos nie ustąpię. Miałem zagrodę niewielką, zagrodę, w której się mój ojciec i dziad zrodzili, wracam z drogi z miłą nadzieją, że w niej przez zimę wypocznę, aż oto zamiast mej chatki, znajduję płócienne domy, tak gęsto natkane, że nawet miejsca jej rozpoznać nie mogę; odtąd postanowiłem trzymać się obozu i póty trzymać się go będę, aż mi na tem samem miejscu odbudować każecie mieszkanie.

Patrzył na niego komtur, więcej skłonny do śmiechu, niż do gniewu.

— Ale mój miły! odezwał się po chwili — jeśli tak potężny jesteś, jak o tobie mówią, mógłbyś i bez mego dołożenia się wznowić sobie mieszkanie.

— Co ja mogę, to mnie tylko wiadomo — odpowiedział starzec — ale to pewna, że wasze wojska mogłyby raczej na zamki uderzyć, nie na chaty.

— Być może, ale wiadomo ci, że czasy wojenne nie oszczędzają nikogo.

— Być może także — odpowiedział starzec — ja jednak nie przestanę poszukiwać mej szkody.

— Zapewne zaniesiesz skargę do mistrza?

— Do mistrza? Bynajmniej! To byłoby żalić się na lisa przed wilkiem; gdybym się miał skarżyć, udałbym się do lepszego sądu.

— Któryż to jest sąd tak straszny?

— Ten, przed którym ty dzień i noc na niełaskę jego uskarżasz się i który w oka mgnieniu może wskrzesić moją zagrodę.

— Stary bałamucie! masz więcej śmiałości, niż zastanowienia — rzekł udobruchany komtur — powiedz, mi kto jesteś w istocie?

— Jestem ten, który wie najlepiej wszystkie twoje myśli — odpowiedział starzec — potrzebujesz mnie, bo i to, w co wierzysz i czemu nie wierzysz, radbyś wszystko użył ku swej pomocy.

— Lecz jesteśże w stanie być mi pomocnym?

— Jestżeś w stanie odbudować mi mieszkanie?

— Będziesz je miał, jakie tylko sam zechcesz.

— To co innego — rzekł starzec — pokażże mi piętę swej nogi, póki mi na ochocie nie zbywa, a wnet się dowiesz, czego się możesz spodziewać.

— Dobrze! dogodzę twojej próżności, lecz po tem pozwolisz, żeby lud, któryś durzył, zajrzał ci także w pięty, jak cię na gałęź powieszą.

— Potem o tem — rzekł niezmieszany starzec — a teraz każ zdjąć obuwie.

Nie bez niedowierzania zniżył się komtur do życzeń wróżbiarza; czuł, że sobie uwłacza przez to użycie nadprzyrodzonych sposobów, lecz czegoż zakochany nie czyni! Położył tedy koło siebie miecz goły i ukazał lewą stopę Radziejce. Patrzył wieszczbiarz na piętę Krzyżaka, wodził po niej linie, szeptał słowa niezrozumiałe, z różnej strony oglądał, kręcił się i spluwał, a gdy już wszystkie obrzędy swoje odprawił, w te się słowa odezwał:

— Prawdziwie! dziwić się trzeba, że ci dotąd służy jakiekolwiek szczęście, kiedy zawsze to tylko czynisz, co je psuje i niszczy. Los, który dziwnem zdarzeniem oddał ci do rąk miłą osobę, zapewne chciał ziścić twoje życzenia, lecz nie tą drogą, jaką szedł dotąd. Przysięgasz miłość, nie szczędzisz zabiegów, bogów opowiadasz się obrońcą, lecz jakiż wszystkie te obietnice sprawić mogą skutek, kiedy ją trzymasz prawie jak w więzieniu. Czy nie wiesz, że kochanie swobodą żyje?

— Cóż więc mam czynić? Możebyś był tego zdania, żebym ją na wolność wypuścił? — zapytał.

— Nie! tego ci nie radzę, lecz odsuń te straże cokolwiek od jej mieszkania, dozwól jej zwiedzić gaj święty, dozwól wysłać wiadomość do ojca, niechaj zapomni, że jest twoją branką; a wtenczas jeśli będzie nieczułą, nazywaj ją niewdzięczną, a mnie oszustem.

— Bardzobym też sobie pięknie poradził, gdybym jej wyjechania dozwolił! Twoje rady mogą być najlepsze, lecz są trudne do wykonania. Ona mię nienawidzi, mój widok tak jej nieznośny, że nie wiem czy jest co na świecie, oprócz przymusu, coby ją zniewolić mogło do oddania mi ręki.

— Chciałem cię drogą najkrótszą prowadzić — rzekł starzec — lecz gdy jej nie ufasz, są inne ścieżki, które cię postawić mogą u celu.

Tu wziąwszy na siebie postać głęboko w myślach zatopionego człowieka, zaczął pozierać na swe palce, okryte pierścieniami różnego rodzaju, jak gdyby się ich radził, co mu czynić zostaje; długo je zdejmował, przekładał, wybierał i szeptał, nakoniec, gdy znalazł, czego szukał, ukazał Krzyżakowi małą obrączkę, najmniej kosztowną, i tak mówił:

— Oto masz obrączkę, w której jes twe szczęście zawarte, włóż ją na mały lewy palec i gdy się przy Pojacie znajdziesz, zdejm i ukaż jej zaraz. Ona się spyta, skąd ją masz; będziesz mógł powiedzieć, że ci ją dał Radziejko. Gdy, spodziewam się, zechce mnie widzieć, ja nad nią kilka słów rzeknę, wtenczas szczęście twoje będzie zapewnione.

Nie z zupełną wiarą przyjął komtur obrączkę, włożył ją jednak na palec, ponowił przyrzeczenia odbudowania mieszkania i odprawił starca, zapewniając, iż pośle po niego, jak tylko potrzeba wypadnie. Nie był on tak ślepo zaufany w czarach, aby w nich niechybną pokładał nadzieję, myślał nawet, że wszystkie te sztuki mogą w sobie zdradę ukrywać, z tem wszystkiem dnia tego samego jeszcze znalazł sposobność sprawdzenia uroków.

Zbliżywszy się do Pojaty, odebrał od niej, jak zwykle, zimne przyjęcie, lecz zaledwo ukazał cudowny talizman, wnet cała jej postać, jakby nowem natchnięta życiem, zupełnie inną się stała. Naprzód ją jakaś niespokojność przejęła, nie wiedziała sama, co się z nią dzieje, pogrążona w głębokiem milczeniu, długo smutno na obrączkę patrzała. Wkrótce twarz jej okrył przyjemny rumieniec i pierwszy raz przychylnie na komtura spojrzawszy, pytała skąd ma tę obrączkę. Nie zapomniał uradowany Krzyżak dać jej przepisaną odpowiedź. Pojata, oświadczyła życzenie poznania właściciela daru.

Posłał niezwłocznie po Radziejkę komtur i wprowadził go do jej pokoju. Krótkie ich było widzenie się, a gdy ją następnie komtur odwiedził, zupełnie w niej znalazł inną osobę. Wolna obawy i niepokojów, nie trwożył go więcej wzrokiem nieufności, nie lękała się Heleny i uśmiech, dawno już niewidziany, mile krasił usta. Pełen radości komtur, korzystając z tak cudownej zmiany, chciał widzieć niezwłocznie swe szczęście spełnione i zamyślał odezwać się o rękę, lecz go przestrzegł wieszczbiarz.

Usłuchał go komtur i to tylko czynił, co mu starzec zalecał. Tym sposobem zyskawszy Radziejko zaufanie Sundsteina, został niejako opiekunem i pocieszycielem Pojaty. Z niechęcią i wzgardą patrzała Helena na tę nową baszty wyrocznię, ale rubaszny staruszek mniej na to uważał i coraz śmielszym się stając, często tak niespodzianem słowem przymówił Helenie, tak mało komu wiadomą spomniał okoliczność jej domu, że przerażona dziewica nieraz była blizką wierzenia, że ten człowiek koniecznie ma złe duchy w pomocy. Czasem też żartobliwie dawał do zrozumienia, że gdyby był proszony, nie odmówiłby poradzenia się pięknej jej pięty dla oznaczenia z niej pożądanego powrotu Dowojny; rozgniewana Helena wszystkich używała sposobów, aby pozbyć się starca, ale komtur nadto go potrzebował, żeby pożądał rozstać się z nim tak prędko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dom mój rodzinny!

Dom mój drogi, ten stary, ten dom mój rodzinny,
Co spróchniał do połowy i zarył się w ziemię,
Niby taki jak dawniej, a przecież już inny,
Bo i on, jak człowiek, na starość wciąż drzemie.

Przy nim stoją, jak dawniej, dobrze znane drzewa;
Nad nim, również jak dawniej, jasne słońce świeci;
Wokół niego taksamo pięknie ptasze śpiewa —
Łan się kładzie złocisty — krasna łąka kwieci...

Ach, przed laty jam częścią był mojego domu;
Dzień najdłuższy w nim dla mnie był maleńką chwilką,
Nie znałem nigdy zmartwień, ni rozpaczy gromu!...
Dziś w mym domu rodzinnym... gościem jestem tylko!

A jednak dom ten stary witam z utęsknieniem!
A gdy duszę mą kiedy napełni tęsknota
To jedno z życzeń wtedy tylko mem życzeniem,
Bym choć przy nim dokonał dni moich żywota!...

Ant. St. Bassara.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

27.

Ze śmiercią Zygmunta Augusta skończył się ród Jagiellonów, gdyż ten nie pozostawił po sobie żadnego potomka. Naród pozostał więc bez króla i nie wiedział skąd go wziąć. Dotąd bowiem Piastowie z prawa dziedzictwa wstępowali na tron, a Jagiellonowie zostawiali następców, których naród obierał, czyli raczej potwierdzał.

Teraz trzeba się było rozglądnąć za nowym monarchą. Oczywiście nie mógł go mianować jeden, lecz trzeba było zwołać naród i dokonać wyboru. Jak wszystkie wybory, dokonywane przez ludzi, którzy nie znają się na rządzeniu krajem, tak i wybór króla musiał paść na tego, który najwięcej obiecywał. Kandydatów do tronu było bardzo wielu, a że najwięcej obiecywał królewicz francuski, Henryk Walezy, więc też na niego padł wybór.

Po wyborze wyprawiono posłów do Henryka, aby ci zaprosili go do Polski. Francuzi bardzo się dziwili udatnej postaci panów polskich, poważnym ich twarzom, długim i siwym wąsom, czapkom sobolim z dyamentowymi kitami, butom żółtym i czerwonym z dużemi podkówkami, głowom golonym; przytem dzielnym koniom pod złocistemi siodłami i licznej służbie.

Przybył wprawdzie Henryk do Polski, ale gdy zobaczył, że obietnic porobionych dotrzymać nie może, czmychnął do Francyi, aby więcej nie wrócić.

Polacy nie smucili się tem bardzo, bo człowieka, który szasta obietnicami, a nie dotrzymuje ich, niema co żałować.

Prymas zwołał sejm i ogłosił, że jeżeli Henryk do tego a tego dnia nie powróci, tedy przestanie być królem polskim. Henryk jednakże nie wrócił, tem bardziej, że w tym czasie umarł król francuski Karol IX, brat jego, starszy, a Henryk bał się, aby mu kto tronu francuskiego nie odebrał. Tam jednak nie szczęściło się mu, gdyż nie umarł naturalną śmiercią, ale go zabito.



Posłowie polscy u Henryka Walezego.

Grunwald na wsi.

Wyżne koło Czudca.

Dzięki inicyatywie ks. Jana Pokrywki i zabiegom miejscowego dyrektora szkoły ludowej p. Karola Burgharda, święciła uroczyście nasza wioska w dniu 7 sierpnia 500-letnią rocznicę grunwaldzką. Uroczystość odbyła się popołudniu. Moc ludu miejscowego, jakoteż i z okolicznych wsi zjechało się do Wyżnego. Pochód ustawił się na dziedzińcu szkolnym i ruszył do pomnika wśród śpiewów pieśni narodowych i strzałów z moździerzy, — który wzniesiono w środku wsi ku pamięci zwycięztwa grunwaldzkiego i który będzie przypominać wnukom i prawnukom fakt wielkiego dziejowego znaczenia. Tu maluczcy i niewykształceni zatrzymywać się będą i uczyć się dziejów ojczystych, a prawdziwi obywatele patryoci umacniać ducha. Na przodzie jechała banderya, za tą dziatwa szkolna, dalej członkowie Kółka, Straż ochotnicza pożarna a wreszcie lud. Po poświęceniu pomnika przez ks. wikarego z Czudca, przemawiali pięknie na temat obchodzenia pamiątki z włościan p. Józef Kocząb, później ks. Jan Pokrywka, pan dyrektor szkoły ludowej z Czudca i pan dyrektor szkoły ludowej z Wyżnego. Wieczorem odegrano sztukę: »Powrót taty« i »Rycerze Jadwigi«. Uroczystość zakończono żywym obrazem i spaleniem ogni sztucznych.

Kozy pod Białą.

W naszej kresowej wiosce obchodziliśmy dnia 15 b. m. obchód grunwaldzki. Dzień był prześliczny, więc wszystko od rana krzątało się, by uczestniczyć w tem narodowem święcie. Przed godziną 6 ruszył do kościoła wielki pochód. Brały w nim udział wszystkie stowarzyszenia nasze , a nadto zamiejscowe przez swe delegacye; oddział »Sokołów« z Białej, Bielska, Janowic, Kęt, straż pożarna miejscowa, z Kęt i Pisarzowic, dziatwa szkolna i wielu swoich i gości. Nabożeństwo uroczyste odprawił ks. kanonik M. Fajfer, a podniosłe kazanie patryotyczne wypowiedział ks. katecheta Faber. Po nabożeństwie odbyło się poświęcenie pamiątkowej tablicy z marmuru, przy którem przemówił p. Górowicz, prezes »Bratniej pomocy«, ks. Kanonik i poseł Dobija. Po południu wielu słuchaczy zgromadził odczyt prof. M. Magiery, który przedstawił dzieje zakonu na ziemiach polskich. Jako dalsza część programu nastąpiły ćwiczenia Sokolstwa, ćwiczenia młodzieży szkolnej z Komorowic i deklamacye uczniów gimnazyalnych Bortha i Byrskiego.

Wieczorem uszykował pochód mistrz ceremonii w pięknym stroju szlacheckim p. St. Kiełbasa, kierownik szkoły. Urozmaicenia dodawały w pochodzie różnobarwne stroje polskie. Pochód obszedł część wsi wśród rzęsistej iluminacyi i skierował się następnie pod dwór pp. baronów Czeczów, który wspa-

niale wyglądał w blasku różnobarwnych świateł. Ze dworu udał się pochód pod dom naczelnika gminy, gdzie zakończyła się uroczystość żywym obrazem, przedstawiającym hołd Jadwidze i Jagielle i odśpiewaniem patryotycznych pieśni.

Dzień ten pozostanie na zawsze w pamięci naszej przez swój poważny nastrój, przez ożywienie uczuć narodowych. Starzy z radością wspominają, że takiego obchodu jeszcze nie widzieli u siebie.

Wadowice górne pow. mielecki.

Dnia 14 b. m. w niedzielę urządziły Wadowice górne wraz z okolicą obchód grunwaldzki. Wczas rano zebrała się banderya konna pod dowództwem leśniczego p. Wyczesanego i objechała całą parafię. O godzinie 9 zebrała się ludność pod szkołą, gdzie zasłużony nauczyciel p. Maziarz objaśnił zebranym cel uroczystości. Następnie ruszył pochód. Na przodzie jechała banderya w strojach narodowych, za nią ze sztandarem straż pożarna z naczelnikiem panem Boduchem, muzyka, dziatwa szkolna, studenci, dalej dziewczęta. Na ich przedzie niesiono wspaniały wieniec z napisem: »Królowo Korony polskiej módl się za nami«. Za dziewczętami szły rzędem starsze kobiety, za niemi włościanie. Pochód ciągnący się 2 kilometry zamykała banderya włościańska. Przy dźwiękach muzyki i śpiewie dziatwy szkolnej udał się pochód do kościoła, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo. Po nabożeństwie pochód udał się na obszerny plac, gdzie profesor z Mielca p. K. Piątkowski wygłosił piękne przemówienie. Obchód zakończono uroczystym wieczorkiem, na którym przedstawił w obrazach świetlnych akademik p. Prade Franciszek pojedyncze sceny z bitwy pod Grunwaldem.

Tęgoborza 21 sierpnia.

Za przykładem innych i u nas urządzono, acz spóźniony nieco, obchód grunwaldzki. Urządziła go tutejsza młodzież własnemi siłami, nie wzywając niczyjej pomocy ani opieki. Pięknemby to było, gdyby nie miało i złych stron, bo oto niejedno tak wypadło, jak wypaść nie powinno było. Obchód zapowiedziano na 14 b. m., lecz z powodu niepogody musiano go odłożyć do następnej niedzieli 21 b. m. Według programu uroczystość miała się rozpocząć po sumie przemówieniem p. Kryczyńskiego, prof. gimn. z Nowego Sącza. Jednak za późno wysłano konie, wskutek czego p. K. nie zdołał przybyć na czas a ludność po daremnem oczekiwaniu rozeszła się, obiecując przyjść po nieszporach na poświęcenie pamiątkowego krzyża.

Po nieszporach udał się uroczysty pochód z chorągwiami kościelnemi i z tutejszą włościańską muzyką, wśród strzałów z moździerzy na poblizką górę Rachów, gdzie był ustawiony krzyż, ustrojony w wieńce i wstęgi. Poświęcenia dokonał proboszcz tutejszy ks. Figiel, poczem przemawiał sam ks. Figiel, prof. K. i uczeń VII. kl. Szewczyk. Bardzo pięknie i w prostych słowach przedstawił p. K. stosunek Krzyżaków do Polski, oraz znaczenie Grunwaldu. P. Sz. mówił dobrze, lecz może zanadto górnolotnie, skutkiem czego nie przez wszystkich słuchaczy był zrozumiany. Następnie chór uczniów, do którego przyłączyli się prawie wszyscy zgromadzeni, odśpiewał: »Jeszcze Polska nie zginęła«, »Boże coś Polskę« i »Z dymem pożarów«, poczem przy dźwiękach muzyki powrócono przed szkołę, gdzie miało się odbyć amatorskie przedstawienie.

Przy szczelnie nabitej sali przemówił naprzód uczeń VIII kl. Wróbel, następnie oddeklamowano utwór tegoż p. t. »Grunwaldzka pieśń«. Nieprawdziwem było w przemówieniu p. W. złożenie całej winy upadku Polski wyłącznie na szlachtę, bo przecież właśnie ta szlachta przelewała krew pod Grunwaldem, a po upadku Polski jęczała w katorgach i Szpilbergu. Zresztą na uroczystościach narodowych nie powinno być miejsca na zarzuty i oskarżenia.

Po dość długiej pauzie rozpoczęło się przedstawienie sztuki p. t. »Wóz Drzymały«. Widzowie jednak nie rozumieli dobrze sztuki; śmiano się tam, gdzie raczej należało gorzko płakać. Była w tem poniekąd wina grających, bo zamiast wygłaszania mów, niezrozumianych przez włościan, należało poprostu przedstawić postępowanie Prus wobec naszych rodaków w W. Księstwie Poznańskiem, ich niesprawiedliwość i brutalne gwałty, a dla objaśnienia tamtejszych stosunków w skróceniu odegrać »Wóz Drzymały«. Wtedy widzowie, przygotowani odpowiednio, nie śmialiby się, lecz współczuli z ciemiężonymi braćmi, podziwiając ich hart i wytrwałość wobec tak potężnego wroga! Mimo tych małych usterek przecież należy się młodzieży uznanie za dobre chęci, a wszelkie błędy trzeba złożyć na karb nieświadomości i braku doświadczenia, a nie złej woli. Sądzimy, że na przyszłość, w razie podobnego obchodu, wszystko wypadnie poważniej i lepiej.

Ponikwa wielka.

Uroczystość grunwaldzka odbyła się u nas dn. 21 sierpnia i udała się wspaniale. O godzinie 9 poczęły ściągać drużyny w strojach narodowych i pięknie przystrojone dziewczęta na punkt zborny. Stąd udano się naprzeciw mającym przybyć z Brodów gościom. Po przywitaniu uformowano pochód i ruszono z muzyką na czele do kościoła. Mszę św. z »Te Deum« odprawił ks. Henryk Gachowski a kazanie pełne porywu wygłosił ks. Hieronim Kozaczewski. Malowniczo wyglądał pochód po Mszy św. do ogrodu dworskiego pp. Bocheńskich. Pochód poprzedzała banderya z siwych koni i jeźdźców w strojach kościuszkowskich. Za banderyą szła muzyka, dalej Sokoli z Brodów, następnie niesiono portret Jagiełły, za portretem kroczyły żwawo polskie dziewczęta pięknie przystrojone; następnie drużyny Bartoszowe z Wołoch, Suchodół, Huciska i Nowej Huty, wreszcie tłumy ludu polskiego. Po przybyciu do ogrodu odśpiewano pieśń »Bogarodzico« i na mownicę wszedł p. Adolf Bocheński. W pięknej i długiej mowie przedstawił ludowi znaczenie Grunwaldu i zachęcał do wytrwałości i odrodzenia najpierw samych siebie, ażeby módz kiedyś naszym wrogom sprawić drugi Grunwald, następnie przemawiał prezes Sokoła brodzkiego p. Józef Kędzierski o potędze i sile narodu polskiego, wreszcie wstąpiła na mownicę p. Bocheńska i przemówiła w krótkich ale za serce porywających słowach do niewiast polskich, nawołując je do dobrego wychowywania dzieci, stawiając im za wzór Jadwigę, żonę króla Jagiełły. Popołudniu odbyły się ćwiczenia Sokołów i Sokolic z Brodów i przedstawienie teatralne, staraniem pp. Kozakiewiczów i obrazy świetlne z odczytem staraniem Sokolstwa.

Ślemień, pow. żywiecki.

Staraniem komitetu miejscowego odbyła się w Ślemieniu uroczystość grunwaldzka w dniu 14-go sierpnia. O godzinie 7 rano odegrała kapela z Rychwałdu pobudkę, poczem wyruszyła banderya konna i dziatwa szkolna w bieli pod przewodnictwem pp.: Kijasa i Siwka na powitanie Gilowian i Leśnian. Następnie cały pochód przeszedł wieś Ślemień, aby udać się do kościoła. Tu ksiądz Proboszcz wygłosił piękne kazanie, zastosowane do wiekopomnej uroczystości. Po sumie poświęcono okazały pomnik z ciosowego kamienia, na którym jest umieszczony duży obraz królowej Jadwigi. Po kilku mowach wójt ślemieński dziękował za udział w uroczystości.

NOWE KRÓLESTWO W EUROPIE.





Europa wzbogaciła się o nowe królestwo a wypadek to tem niezwyklejszy, że zostało niem księstwo czarnogórskie, jedno z najmniejszych państewek na świecie. Liczy bowiem 250.000 mieszkańców, tyle co dobry powiat galicyjski. Mniejsze są od niego trzy księstwa: Monako koło Francyi, mające 20.000 mieszkańców, rzeczpospolita Andorra koło Hiszpanii 5.000 i rzeczpospolita San Marino w samym środku Włoch 10.000 mieszkańców. Te trzy są mniejsze, ale też nie mają nadziei, ani ochoty zostania królestwem.

Czarnogóra ma szczęście, trzeba powiedzieć. Sześćdziesiąt lat temu górale, zamieszkujący część Turcyi, zwaną Czarnogórą, na południe od Dalmacyi, zbuntowali się przeciwko Turkom za podatki, wyrżnęli w pień bejów, paszów i innych urzędników sułtana, a przewódca powstania, kmieć nazwiskiem Niegusz, który był bogaty, bo miał największe stado wołów, został hrabią Czarnogóry czyli samodzielnym władcą. Jakiś poddany, obrażony o niesprawiedliwy sąd, zamordował go, a następcą został w roku 1860 dzisiejszy Mikołaj I, który ogłosił się już księciem.

Dziwne to były z początku rządy. Nazywają się one patryarchalne, to znaczy rządził książę tak, jak rządzi ojciec małemi dziećmi, bez praw, tylko według swojej woli. Bywało tak, że jak mu się podobał wół czy baran którego Czarnogórca, to go sobie poprostu brał. Pilnował się tylko, by nie brać za dużo, gdyż to mogłoby zgniewać jego wiernych poddanych. Pewnego poranku mogliby go zastrzelić a wybrać sobie innego Hospodara. Tak bowiem nazywają do dziś dnia swojego panującego. Sądy odbywały się dawniej w ten sposób, że książę wychodził ze swego dworu, siadał na rynku stolicy, Cetynii, pod drzewem i przed nim zwoływali się różni poddani mający procesy. Wyroki zapadały takie:

— Zrabowałeś niegodziwy człowieku trzy barany twemu sąsiadowi Danile Czepowiczowi. Za to oddasz mu te barany, dodasz jeszcze jednego, mnie dasz także ładnego skopa za to, że mi czas zabierasz, a na pamiątkę dostaniesz dziesięć kijów. Hej! hajduk, bierz go i wal, co masz siły!

Innym razem zapadł taki wyrok Salomonowy:

— Piotr Bobicz za to, że zabił syna Markowi Ruczajowi, odda mu swego trzyletniego syna Didaka i płacić będzie do szesnastego roku życia po 5 dukatów rocznie: mnie za opiekę nad dzieckiem, a Ruczajowi za koszta wychowania. Razem 10 dukatów rocznie.

Z czasem się to zmieniło. Książę Mikołaj widział, że takie rządy nie są zbyt trwałe, i zaczął je urządzać podobniej do innych krajów. Widział, że sam wszystkiego zrobić nie może a łatwo takiem rządzeniem narazić sobie poddanych. Oddał więc rządy urzędnikom, których sprowadził z zagranicy. Aby ich módz opłacić, oddał się pod opiekę Austryi i corocznie dostaje stamtąd znaczne zasiłki. Za to Austrya ma spokój ze strony rozbójniczego kraiku. Przed trzydziestu laty, kiedy dorosła mu córka bardzo piękna, wydał ją za wielkiego księcia rosyjskiego i od tego czasu dostał się także pod opiekę cara, który co roku też daje hojny podarunek pieniężny. Wreszcie przed dziesięciu laty drugą córkę wydał książę Mikołaj jeszcze świetniej, bo za króla włoskiego. Teraz zaczęło się już dobrze dziać i jemu i Czarnogórcom, pieniędzy mają wbród, a wydatków żadnych, wszystko opłacają trzy wielbie państwa: Austrya, Rosya i Włochy. Przed rokiem książę dobrowolnie zaprowadził konstytucyę.

W tym roku, właśnie w ubiegłym tygodniu, przypada pięćdziesiąt lat od wstąpienia na tron księcia. Mocarstwa europejskie za protekcyą zięcia książęcego, króla włoskiego, postanowiły ogłosić Czarnogórę królestwem a księcia królem. Dokonano tego uroczyście w stolicy Czarnogóry, Cetynii, wsi liczącej 3000 mieszkańców, leżącej na szczycie wielkiej góry. Zjechali się na tę uroczystość wysłańcy wielu monarchów europejskich i ledwie się tam pomieścili, bo Cetynia, choć stolica królestwa, ma jeden jedyny dom zajezdny na trzydzieści osób. W całej stolicy tylko dwa domy piętrowe, dwór królewski i poczta.

Dla Austryi powstanie nowego królestwa ma znaczenie polityczne i dlatego popierała tę myśl. Czarnogórcy są Serbami, wyznania wschodniego, niekatolickiego. Z drugiej strony z Belgradu, stolicy królestwa serbskiego, rozchodzą się oddawna dwa prądy, aby z Serbii, Czarnogóry oraz z serbskich krajów austryacko-węgierskich: Dalmacyi, Bośni i Chorwacyi, utworzyć jedną Wielką Serbię pod berłem króla serbskiego. Teraz, gdy powstanie drugie królestwo narodowości serbskiej, agitacya belgradzka, skierowana przeciwko Austryi, straci argumenty, że jeden jest tylko król serbski.

Powyżej podajemy portrety królestwa czarnogórskich w narodowych strojach, ponieważ do dziś dnia tak się noszą, jak wszyscy ich poddani górale.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

PAŃSTWO KORALOWE.

Nazajutrz zbudziłem się z głową bardzo lekką i zdziwiłem się niezmiernie widząc się w mojej kajucie. Moi towarzysze zapewnie zostali także do swojej stancyi przeniesieni, nie wiedząc o tem. Prawdopodobnie więc nie wiedzieli równie jak i ja, o tem co zaszło na okręcie.

Nie miałem co robić u siebie; trzeba było sprobować, czym jeszcze jeńcem czy wolnym. Pokazało się że byłem wolny. Otworzyłem drzwi, przeszedłem korytarz i wszedłem na schody główne. Okiennice, które zamknięto wczoraj, były teraz otwarte. Wyszedłem na platformę. Już tam byli Konsel i Ned-Land. Zapytywałem ich czy nie wiedzą co się działo? ale nic nie wiedzieli.

»Nautilus« wydawał się nam równie spokojny i tajemniczy, jak zawsze; pływał po powierzchni z umiarkowaną szybkością — a zdawało się, że się nic na pokładzie nie zmieniło. Ned-Land bystrym swym wzrokiem przepatrywał morze, ale nic nie dostrzegł: ani żagla, ani lądu.

»Nautilus« odświeżywszy swoje powietrze, zagrążył się znów na jakie piętnaście metrów. Kapitan Nemo nie pokazał się wcale. Z ludzi do statku należących, widziałem tylko milczącego służącego, który jak zwykle spełniał swoje obowiązki.

Około drugiej byłem właśnie w salonie porządkując moje notatki, gdy zjawił się kapitan. Ukłoniłem mu się, a on oddał mi ukłon, ale nic nie mówił.



... ciało spuszczono do mokrego grobowca...

Spojrzałem na niego; zdawał mi się zmęczony. Oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał, a na twarzy jego widać było smutek a nawet zmartwienie. Chodził tu i tam, siadał, wstawał, brał pierwszą lepszą książkę i kładł ją napowrót; przyglądał się narzędziom obserwacyjnym, nie notując, jak to czynił zwykle, swych spostrzeżeń. Zdawało się, że sobie miejsca znaleźć nie może.

Nakoniec zbliżył się do mnie i rzekł:

— Czy jesteś pan lekarzem, panie Aronnax?

— Jestem nim — odpowiedziałem i długo praktykowałem nim przeszedłem do muzeum.

— Panie Aronnax — rzekł wtedy kapitan — czybyś pan nie zgodził się wziąść w opiekę lekarską jednego z moich ludzi?

— Gotów jestem iść za panem.

— Chodź pan.

Wyznaję, że serce mi biło. Nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że choroba człowieka na pokładzie mysiała być w związku z tem co zaszło wczoraj — a ta tajemnica zajmowała mnie tyle przynajmniej co i chory.

Kapitan poprowadził mnie na tył »Nautilusa«, i zawiódł do kajuty położonej tuż obok izby i majtków. Człowiek mogący mieć około czterdziestu lat leżał tam na łóżku. Schyliłem się nad nim. Głowa jego obwinięta w zakrwawioną bieliznę, spoczywała na dwóch poduszkach. Gdym odwiązywał bandaże, chory patrzył na mnie wielkiemi oczami, ale ani syknął.

Okropnie był zraniony; przez czaszkę przeglądał mózg jakby czemś wygładzony. Gruczołki krwi skrzepłej poosadzały się na rozpływającej się masie mózgu. Chory oddychał zwolna, a drgania muskułów wzruszały twarz jego. Najzupełniejszy to był paraliż, przy którym nie było już ani czucia ani ruchu.

Ująłem chorego za puls — był przerywany; ręce i nogi już stygły, i śmierć się zbliżała, a niepodobieństwem było ją opóźnić. Opatrzyłem biedaka, uporządkowałem bandaże, i zwróciłem się do kapitana.

— Czem on został raniony? — zapytałem.

— O to mniejsza — była odpowiedź; »Nautilusa spotkało uderzenie, które zgruchotało jeden z drągów machiny, a ten człowiek został nim uderzony, osłaniając porucznika, który stał obok... Brat poświęcił się dla brata, przyjaciel dla przyjaciela — to rzecz bardzo prosta. Wszyscy na »Nautilusie« rządzą się tym prawem. Ale cóż pan mówisz o chorym?

Ociągałem się z odpowiedzią.

— Możesz pan mówić śmiało — rzekł kapitan — on nie rozumie po francusku.

Spojrzałem raz jeszcze na rannego i rzekłem:

— Za dwie godziny będzie już po nim...

— To już niema dla niego ratunku?

— Niema.

Dłonie kapitana zwarły się kurczowo, a kilka łez spłynęło z jego oczu. Nie myślałem żeby ten człowiek umiał płakać.

Patrzyłem na umierającego. Życie uchodziło z niego widocznie; bladość jego większą się jeszcze zdawała, przy blasku światła elektrycznego. Czyhałem na kilka słów z jego ust, mogących mi odkryć tajemnicę jego życia.

— Możesz się oddalić, panie Aronnax — rzekł kapitan.

Opuściłem kajutę umierającego i poszedłem do siebie, wzruszony niezmiernie tą sceną. Cały dzień miotały mną jakieś chmurne przeczucia. W nocy źle spałem. Nazajutrz rano gdym wszedł na pokład, już tam był kapitan Nemo. Spostrzegłszy mnie, zwrócił się zaraz ku mnie mówiąc:

— Panie profesorze, może pan zechcesz udać się dziś na podmorską wycieczkę?

— Czy z mymi towarzyszami? — zapytałem.

— Jeśli będę chcieli, to i owszem.

— Jesteśmy na pańskie usługi, kapitanie.

— Więc idźcie ubrać się w ubiory nurków.

O umierającym a może i zmarłym, nie mówił kapitan ani słówka. Poszedłem poszukać Neda i Konsela. Konsel chętnie przyjął zaproszenie, a i Ned jakoś nie ociągał się tym razem.

Była ósma rano; o wpół do dziewiątej byliśmy już przebrani jak należało, na czekającą nas przechadzkę. Otworzono drzwi podwójne i wyszliśmy my trzej, kapitan, i ze dwudziestu ludzi osady na grunt, na którym spoczywał »Nautilus« w głębokości dziesięciu metrów pod powierzchnią wody.

Lekka pochyłość powiadła nas głębiej jeszcze, na grunt falisty, zupełnie inny niż ów, który zwiedzałem podczas pierwszej mej podwodnej wycieczki na oceanie Spokojnym. Nie było tu miałkiego piasku, ani łąk lub lasów morskich. Rozpoznałem od razu, że okolica do której nas wódł kapitan Nemo, była państwem koralowem.

Korale należą do zwierzokrzewów drzewkowatych czyli krzaczastych. Znajome mi były ostatnie uczonych badania nad tym dziwnym zwierzokrzewem, rozrastająm się w krzew, a zarazem zamieniającym się w kamień. To też niezmiernie byłem ciekawy zobaczyć te lasy skaliste, jakiemi natura zasadziła dno niektórych.

Rozświeciwszy sobie drogę, szliśmy obok ławicy koralowej tworzącej się dopiero. Postępowaliśmy wzdłuż niezmiernie gęstych i poplątanych z sobą krzaków koralowych, pokrytych jakby małemi kwiatkami, prążkowanemi biało. Tylko że te krzaki nie rosły jak na ziemi, z dołu do góry, ale przeciwnie, przytwierdzone do skał, wszystkie rozrastały się od góry w dół. Tysiące czarujących obrazów powstawało ze świateł igrających w tych, tywemi kolorami zalanych, rozgałęzieniach. Pokusa mnie brała żeby zbierać te świeże korony kwieciste, ozdobione delikatnemi szypułkami: jedne ledwie rozwinięte, drugie rodzące się dopiero. Ale zaledwie zbliżyłem rękę do tych żyjących kwiatów, do tych czółek ożywionych, a natychmiast uciekały; białe ich kielichy kryły się w czerwone rurki, kwiaty rozpływały się w moich oczach, a krzak zmieniał się w kawał kamienistego wzgórka.

Przypadek zdarzył, żem napotkał najpiękniejsze okazy zwierzokrzewów. Korale tego miejsca dorównywały pięknością tym, które się poławia w morzu Śródziemnem na brzegach Francyi, Włoch i Berberyi. Żywe ich barwy usprawiedliwiały owe poetyczne nazwy: »kwiatu krwi«, »piany krwawej«, nadawane w handlu najpiękniejszym okazom. Cena korala dochodzi niekiedy do 1000 koron za kilogram, a w tem tu miejscu było go tyle pod falami morskiemi, że wszyscy żyjący na świecie z połowu korali, mieliby się czem zbogacić.

Krzaki stawały się coraz gęstsze, wyrosty potężniały. Prawdziwe ulice i galerye skamieniałe. Kapitan Nemo wszedł w ciemną galeryę, której łagodna pochyłość sprowadziła nas do głębokości trzystu blizko metrów, zatem ostatniej granicy porostów koralowych. Spotkaliśmy tam nie już krzaki pojedyncze lub krzewy skromnie wyrosłe, ale las niezmierny, ogromne drzewa koralowe skamieniałe. Pod wybujałemi tych drzew gałęziami, pokrytemi ciemnicą fal, przeszliśmy swobodnie; u stóp naszych rurkokrzewy, gwiazdowce, gąbki, dzwonki i t. p. tworzyły kobierzec kwiecisty, olśniewającemi posiany klejnotami.

Kapitan zatrzymał się nareszcie; zatrzymałem się także, równie jak nasi towarzysze, którzy stanęli w półkole obok swego dowódcy. Przypatrzywszy się lepiej, spostrzegłem, że czterech z pomiędzy nich dźwigało na barkach jakiś przedmiot podłużnego kształtu.

Byliśmy w środku obszernej polany, otoczonej bujnym drzewostanem podmorskiego lasu. Z naszych latarni płynęło na to miejsce światło przymierzchłe, od którego cień wydłużony padał na grunt. Na krańcach polany ciemność już była zupełna, i tylko żywe zwierzątka w koralu iskrzyły się tu i owdzie.

Ned-Land i Konsel byli tuż przy mnie. Przypatrując się, uderzony zostałem myślą, że zapewne niezwykłe będę miał widowisko. Grunt był ponadymany w niektórych miejscach lekkiemi podniosłościami, jakby ręką w pewnym ułożonemi porządku. W środku polany, na skałach zwalonych na kupę, stał krzyż koralowy i wyciągał swe długie ramiona, jakby zrobione z krwi skamieniałej. Na znak kapitana jeden z towarzyszących nam ludzi odjął od pasa motykę i zaczął kopać otwór.

Zrozumiałem o co chodziło! Ta polana to był cmentarz, a ten otwór miał być grobem; ten przedmiot podłużny, przyniesiony przez ludzi osady, to ciało człowieka zmarłego tej nocy! Kapitan Nemo i jego towarzysze przyszli pogrzebać swego kolegę we wspólnem ostatniem mieszkaniu, na niedostępnem dnie oceanu.

Kopano grób. Spłoszone ze swego schronienia ryby, uciekały na wszystkie strony. Wapnisty grunt dźwięczał pod uderzeniami kilofa, z pod którego, gdy natrafił na krzemień, tryskały iskry. Otwór rósł wzdłuż i wszerz, i nareszcie dosyć się stał obszerny, by objąć ciało człowieka.

Wówczas zbliżyli się ci, którzy je nieśli. Owinięte w tkaninę białą ciało spuszczono do mokrego grobowca. Kapitan Nemo z rękami skrzyżowanemi na piersiach, i wszyscy przyjaciele zmarłego uklękli w postaci modlących się. Ja i moi dwaj towarzysze pochyliliśmy się ze czcią... A potem zasłonięto otwór grobowca odłamkami oderwanemi z gruntu i powstał mały pagórek.

Wówczas kapitan i ludzie jego powstali, zbliżyli się do grobu i każdy z nich raz jeszcze ugiął kolano i wszyscy wyciągnęli ręce na znak ostatecznego pożegnania. Pogrzebowa drużyna zawróciła wówczas w stronę »Nautilusa«, przechodząc pod łukami kamienistego lasu, przez ulice, wzdłuż krzaków koralowych, i wstępując coraz wyżej. Ogniska na statku ukazały się nakoniec; świetlne ich smugi były nam przewodnikami. O pierwszej byliśmy już z powrotem.

Zmieniwszy odzienie, wyszedłem na platformę, a przygnieciony nawałem myśli, usiadłem przy latarni oświetlającej statek. Wkrótce nadszedł kapitan Nemo. Podniosłem się i rzekłem:

— Tak więc, jak przewidziałem, człowiek ów umarł w nocy?

— Umarł, panie Aronnax — odpowiedział kapitan.

— A teraz spoczywa przy swych towarzyszach, na koralowym cmentarzu.

Zasłaniając sobie nagle twarz rękami, kurczem owładniętemi, daremnie usiłował kapitan powściągnąć łkanie — potem rzekł:

— Tam jest nasz zaciszny cmentarz, tam, o kilkaset stóp pod powierzchnią wód!

— Przynajmniej wasi zmarli bezpieczni tam są od rekinów.

— Tak — odparł poważnie kapitan — od rekinów i od ludzi!

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają niektóre ludzie, ze im kto wyzsiejsy urząd piastuje, tem jest scęśliwsy i kuntentniejsy. Ja ta nie powiadam, ale gadam, ze to wsyćko całkiem nieprawda.

Dajmy na to, jak pójdzie gróbarz do karcmy i tam się uchla, to choć niełądnie, ale jesce ujdzie, bo to ino gróbarz. Ale jakby tak posed pan organista w swojej osobie do karcmy i tam się urznął, to nietylko ludzieby pyskowali, ale i jegomość sprawiłby mu pucówkę. A jakby tak poseł rzońca do karcmy?... no, rany boskie!...

Bo myślicie, że rzońca, to takie byle co! On jak wyjdzie na dworzkie podwórko, to jemu się zdaje, ze to wsyćko jego. Przed nim ma stracha i łokomon i karbownik, i fornal, i dziwki, i pastuchy, i kury, a on to ino swoi baby okrutnie sie boi.

Ale zato jak pojadą do miasta na jarmark, to tam panu organiście juz się pzecie uchlać wolno, a rzońcy nie bardzo

Mnie, na przykład, to wolno pośpasować i z Maryną, i z Kaśką, i z Jagą, zeby ino chciały, i nikt na to nic nie powie, ale niechby tak zrobił to samo prefesur, co dzieci na cytaku ucy, toby cała parafija powiedziała, ze zbereźnik, socyjalista i antykryst.

Ale z drugi strony prefesurowi to wolno jesce z jaką organiścionką abo leśniconką śmiski prowadzić i pod brodę je pogłaskać, ale niechy to ucynił pan dziedzic ze dwora, toby zaraz pedzieli, ze jest ocajdusa, demokrata i kuniec.

Panu dziedzicowi wolno jednak pójść na plebanię na kielisek wina i cygara, a juz biskup to się ani na krok za drzwi nie rusy, ino zaraz jedzie z nim kilku księdzów i jeden urzędnik, co mu buty pucuje. Biskupowi to i z hrabianką nie wolno gadać, bo by się ludziom nie podobało.

Powiadam wam więc otwarcie, ze ja więksy pan, jak rozmaite adukaty, ministry, kancelisty i inne glisty, bo co mnie wolno, to jem nie wolno, a co jem wolno, to i mnie wolno. Z tego wsyćkiego widzę, ze ja, Maciek, jestem najscęśliwsym z najscęśliwsych, a nawet scęśliwsy, jak sam minister. Moze nie? A widzieliwyście kiedy ministra w karcmie? Nie! a ja tam chodzę. Gadał kiedy minister z Kaśką od wójta? Acha, nie! — a ja gadam prawie codzień! A powiadają nawet, ze ministry nigdy pirogów ze syrem nie jadajom, a ja to zawse raz na rok na świętego Jacka pół kopy zjadam. A niechby tak jaki ministyr boso i w samy kosuli na pole wysed, to ciekawym, coby na to mędrkowie rózni pedzieli? On bidny, chudzinka, na takie gorąco musi w butach i w kabacie chodzić, bo mu inacy nie wolno.

I gadajcie, co chcecie, ale im kto nizsy urząd zajmuje, ten scęśliwsy, jak na przykład ja.

Straszny pożar w Ameryce.

Przez cztery tygodnie srożył się w stanach zachodnich Ameryki północnej straszny pożar. W kilku miejscach stanęły prawie równocześnie w ogniu olbrzymie lasy. W tych okolicach lasy są tak ogromne, że zajmują przestrzeń prawie równą połowie Europy. Gdy tylko się pojawił pożar, zaczęto ratować jak się dało, ale z małym skutkiem. Kontraktowano tysiące robotników na miejscu, ze wszystkich stanów pociągi zwoziły żołnierzy. Nie pomogło to wiele i przez cztery tygodnie ogień szerzył się, aż wreszcie ogarnął przestrzeń około 5000 kilometrów, tyle, co cały Śląsk austryacki. Zagrożona zaś była przestrzeń równa mniej więcej powierzchni Austryi. Że płomienie zagasły, zasługa to nie tyle ludzi, którzy mimo usilnej pracy byli bezsilni, ile łaski Bożej, gdyż nad ogarniętym pożogą krajem zaczęły lać deszcze niezwykłe o tej porze.

Ogółem więc zginęło w płomieniach przeszło 600 osób i spaliło się 40 miast, miasteczek i osad.

Przyczyny pożaru dotąd nie wykryto, ale istnieje ugruntowane podejrzenie, że podłożyli go pozbawieni pracy robotnicy, licząc na to, że przy gaszeniu ognia znajdą zarobek i wysokie płace. Niegodziwość niektórych ludzi nie ma granic. Gotowi są wszystko i wszystkich skazać na zgubę, byle coś dla siebie zyskać!

Strasznym był los miasta Wallace, leżącego w dolinie i otoczonego naokoło lesistemi wzgórzami. Pociąg ratunkowy nie mógł tam dostać się i w mieście owem 5000 ludzi było odciętych od świata łańcuchem płomieni.

W dystrykcie St. Joe pracowało nad stłumieniem pożaru 200 ludzi, z których pozostało tylko 18, reszta zaś zginęła. Tłumy ludzi stały tam po szyję w wodzie, ażeby w ten sposób chronić się od gorąca. Pożar posuwał się z szybkością 1 km. na godzinę.

Jeden z mieszkańców miasta Wallace, wydostawszy się cudem z terenu objętego pożarem, opowiadał następujące szczegóły katastrofy: W kilka minut po wybuchu ognia setki mężczyzn walczyły z szalejącym żywiołem, ale bezskutecznie. Walka trwała 10 dni. Oddział ratunkowy znalazł w lesie 18 poparzonych osób, chociaż po szyję stały w wodzie. Bardzo wiele osób dostało obłędu, inne rzucały się do wody, ażeby samobójstwem skończyć męki.

W pewnej miejscowości schroniło się 12 osób do tunelu kolejowego; wszyscy udusili się. Trzydzieści innych osób uciekło do opuszczonej kopalni; pięciu z nich udusiło się, a 25 znaleziono na drugi dzień nieprzytomnych.

Pożary lasów w tej okolicy Ameryki nie są rzadkością. Według obliczeń ministerstwa rolnictwa wyrządzają one tam rocznie przeciętną szkodę na 50 milionów dolarów (500 milionów koron), przyczem ginie 65 ludzi. Najczęściej upały, panujące tam o tej porze, są powodem, że lasy zapalają się. Tego roku do niedawna panowały w Stanach Zjednoczonych takie skwary, że wysychały nawet większe rzeki, a wyschłe podszycie lasu i zwiędłe liście stanowiły nadzwyczaj podatny materyał ogniowy. Iskra lokomotywy, zapałka, porzucona przez drwala wystarczała, ażeby wywołać gwałtowny ogień. Tablice umieszczone w lasach i wzywające, ażeby się ostrożnie obchodzić z ogniem, nie wiele pomagają. Maszyny pociągów nie posiadają przytłumiaczy iskier, a wzdłuż toru kolejowego nie są nawet wycięte drzewa na pewnym pasie, ażeby iskry nie padały na materyał palny.

Z TYGODNIA.

Naradę w sprawie nędzy żydowskiej zwołał Wydział krajowy na prośbę posłów żydowskich. Aby obrady łatwiej poszły, rozesłał Wydział krajowy arkusze z pytaniami do tych, którzy wezmą udział w naradach; zapytuje on tam o następujące różne sprawy żydowskie, z których podajemy co najważniejsze: Czy ludność żydowska naprawdę ubożeje i jakie są formy tego ubożenia, oraz jakie przyczyny... Jeśli tak jest, jakiemi sposobami należałoby temu zapobiedz, między innemi, czy i jak możnaby używać żydów do pracy rolnej? Wreszcie, kto ma przedewszystkiem spieszyć z pomocą żydom: kraj czy państwo, oraz, czy należy popierać emigracyę żydów z Galicyi do innych krajów. Narada odbędzie się 19 września we Lwowie.

Ze stronnictwa ludowego. Rada naczelna Polskiego Stronnictwa ludowego zgromadzi się na naradę w Bochni, w sali Rady powiatowej w sobotę 3 września.

Dlaczego odwołano manewry cesarskie w Galicyi? Każdy z nas wie, że z powodu nosacizny, która się pojawiła w jarosławskiem. Inaczej twierdzą gazety rosyjskie i opowiadają taką bajeczkę: Austrya chciała pokazać swoją siłę i urządzić manewry blizko granicy rosyjskiej, a równocześnie jej sprzymierzeniec, Niemcy, miały to samo zrobić u siebie na Ślązku. Rosyi naturalnie to się nie podobało i postarała się o pomoc u swej przyjaciółki Francyi. Banki francuskie zapowiedziały Austryi, iż jej nie pożyczą pieniędzy na wydatki wojskowe, jeżeli w ten sposób manewrami będzie zagrażać pokojowi. No i Austrya, powiadają gazety rosyjskie, potrzebując pieniędzy na armaty, musiała ustąpić i manewry odwołać. Czego to już nie wymyślą politykujące gazety podczas upałów, gdy głowa słabiej pracuje, a pisać o polityce nie można, bo niema o czem...

Wszechniemcy galicyjscy, podobnie jak Rusini, wyzyskują okres wakacyjny do urządzania rozlicznych wieców. Wolą oni politykę, niż zbożną pracę rolnika, gdyż nawet podczas żniw wiecują, kończąc na karczmie. Hakatystyczny *Bund* sprowadził znanego agitatora wszechniemieckiego, posła Stransky'ego, który w kilkakrotnych wystąpieniach parlamentarnych roztaczał szeroko żale nad »uciskiem« Niemców galicyjskich przez rządy polskie. Zebrania te są prowadzone w duchu pruskim. W poniedziałek n. p. odbył się wiec pod gołem niebem w Dornfeldzie, obok Szczerca, gdzie na powitanie Stransky'ego ozdobiono wieś chorągwiami o barwach pruskich, a jedną tylko chorągiewkę ustrojono na kolor czarno-żółty — »na pokaz«. Pan Stransky objeżdża również kolonie w powiecie stryjskim i stanisławowskim, aby »utwierdzać niemczyznę« w kraju. Czy nie za dużo zaufania w potulność i cierpliwość polską?!

Napady ruskie. Rusini nie chcą pozwolić na to, aby ludność polska, wśród niej zamieszkała, zarabiała pieniądze za to, że nasi lepiej od Rusinów pracują. Czasem dochodzi nawet do gwałtów. W przeszłym tygodniu przy budowie gościńca, prowadzącego do Dobrosina, budowanego przez Wydział krajowy, pracowało dwóch mieszczan tamtejszych, Polaków. Na pracujących w spokoju napadł gr.-kat. proboszcz ks. Jan Reszetyło i miotając na nich obelżywe słowa, wołał, że zakazuje im robić w święta ruskie pod swojemi oknami. Zaznaczyć należy, że zajście odbywało się koło probostwa ruskiego, ale w znacznem oddaleniu od cerkwi, tak, że praca robotników nie mogła w niczem zakłócić nabożeństwa w cerkwi. Gdy robotnicy polscy rozkazu księdza usłuchać nie chcieli i pracowali dalej, zaczął kapłan zwoływać parafian, wychodzących z cerkwi i zachęcać ich do pobicia pracujących robotników. Wtedy robotnicy widząc, że podburzeni Rusini mogą się na nich rzucić, z roboty ustąpili.

Jak socyaliści gospodarują. Przed sądem w Przemyślu odbył się proces przeciw kontrolorowi Kasy chorych w Jarosławiu o ukradzenie 740 koron na szkodę kasy. Jako oskarżony stanął 32-letni »towarzysz« Jan Kraus. Przyjęty do kasy chorych za usługi oddane przy cygaństwach wyborczych, został kontrolorem, a zarazem kasyerem. Celem zbierania opłat otrzymał oskarżony z kasy blok numerowy, na którym wystawiać miał podwójny kwit, jeden dla kasy, drugi dla pracodawcy. Codziennie obowiązany był robić obrachunek i zebraną gotówkę oddawać do rąk głównego kasyera. Z początku tak postępował; w roku jednak 1909 począł pieniądze dla siebie zatrzymywać. Urządził się tak sprytnie, że pracodawcy otrzymywali kwity, a on pieniądze. Księgi prowadził prawidłowo, kasyerowi codziennie oddawał pewną sumę i wszystko było w porządku, przynajmniej na oko. Tak trwało przeszło rok do czerwca. Tymczasem pomimo wzorowego prowadzenia ksiąg i kontroli, zaległości pracodawców rosły. Wobec tego kierownik kasy sporządził wykaz zalegających z opłatami pracodawców, aby wdrożyć przeciw nim egzekucye. Upomniał ich jednak przedtem, aby dobrowolnie zapłacili. Wtedy dowiedział się, że wszyscy już dawno zapłacili, a na dowód okazali pokwitowania. Pokazało się, że socyalik wykradł taki sam drugi blok z biura kasy i na nim wystawiał pokwitowania, a pieniądze dla siebie brał. Jeden więc blok miał dla kasy, drugi dla siebie. Przed sądem z płaczem przyznał się do tego, ale żal przyszedł za późno. Sąd skazał go na 3 miesiące więzienia obostrzonego.

Japonia zabrała Koreę na własność, czyli dokonała jej aneksyi, jak się to nazywa w polityce. Ochotę do tego miała dawno, bo ludności Japonia ma dużo, ziemi do jej wyżywienia mało, a po zwycięzkiej wojnie, jak to zwykle bywa, czuje potrzebę rozszerzania swoich posiadłości. Już w roku 1905 ogłosiła Japonia, że bierze Koreę pod swój protektorat, czyli nie dopuści, aby jakiekolwiek inne państwo mieszało się do spraw koreańskich. Odnosiło się to głównie do sąsiednich Chin i Rosyi, bo kto inny nie bardzo miał interes do Korei zaglądać. Przez pięć lat przygotowywali sobie Japończycy wszystko co było potrzeba do objęcia rządów, a teraz ogłosili się właścicielami półwyspu.

Ludność koreańska chętnie to przyjęła, ponieważ jest spokojna i pracowita, a dawniejsi urzędnicy cesarza koreańskiego wyzyskiwali go na wszelaki sposób, ściągali podatki ile mogli, a niczego za to nie dawali. Nieporządek wzrastał z każdym rokiem, dopóki nie przyszli Japończycy. Ci zaprowadzili rządy po swojemu, a ludzie koreańscy lżej zaczęli oddychać. To też teraz, gdy się dowiedzieli, że Japończycy całkiem będą nimi rządzili, są radzi. Sprawiedliwy i ludzki rząd zawsze zadowoli każdego. Dobrzeby było, aby o tem pamiętały rządy: rosyjski i pruski, wobec Polaków.

Starcia pograniczne. Na pograniczu grecko-tureckiem przyszło do krwawego starcia pomiędzy grecką a turecką strażą, przyczem tureccy żołnierze strzelali do greckich. Trzech żołnierzy greckich jest ciężko rannych. Pod miejscowością Domenikon znów wyłoniła się zacięta walka pomiędzy pasterzami tureckimi a greckimi; ostatnich popierali czynnie żołnierze greckiej straży pogranicznej. Trzech pasterzy zastrzelono, dwóch żołnierzy tureckich raniono śmiertelnie. Na granicach państw bałkańskich, nieustanne są niepokoje.

KRONIKA.

Zygmunt Glogier, znakomity badacz ludu polskiego, zmarł w Warszawie w przeszłym tygodniu. Zmarły miał wielkie zasługi dla nauki, ponieważ w swoich kilkudziesięciu przez siebie napisanych książkach opisywał jak się osiedlał lud polski w dawnych czasach, jakie ma obyczaje i t. d. Ś. p. Glogier zostawił bogate zbiory naukowe, które ofiarował narodowi polskiemu w podarunku pośmiertnym.

Pomniki grunwaldzkie. Niedawne to czasy gdy lud nasz po wsiach, uważał się raczej za wszystko inne, aniżeli za Polaków. Obecnie stwierdzić z radością należy, że przez licznie rozrzucone szkoły, przez czytanie gazet i książek, umysł włościan naszych rozjaśnił się i prawie każdy z naszej braci rolnej uważa się za Polaka i czuje po polsku. Dowodem tego jest rok bieżący. Po całej ziemi naszej rzucili się rolnicy do uroczystych obchodów grunwaldzkich, a tu i ówdzie powznosili piękne pomniki, aby one im i ich dzieciom przypominały ową wielką chwilę pogromu Krzyżaków. Jeden z takich pomników, wystawiony w Wyżnem koło Czudca przedstawia obok podany obrazek. Niedługa historya! Słowo: »Grunwald« i dwie daty wyryte na twardym kamieniu, a obok gromadka dzieciątek więcej mówią, niż najdłuższe opisy. Wdzięczni też jesteśmy p. Kocząbowi za nadesłanie tej miłej pamiątki, którą dzielimy się z czytelnikami. Opis odsłonięcia pomnika podaliśmy w artykule p. t. *Grunwald na wsi.*



Kurs lustratorów i instruktorów Kółek rolniczych odbył się we Lwowie. W dniu ostatnim, 17 sierpnia, przed południem, odbyło się powtórzenie i teoretyczna nauka a o godzinie 3 popołudniu rozpoczął się kilkugodzinny egzamin. Najpierw w sali gimnastycznej kierownik kursu, Dr. Bronisław Dulęba, złożył sprawozdanie prezesowi p. Cieleckiemu, z odbytej na kursie nauki, poczem sekretarz Szczerbowski rozpoczął egzaminowanie z teoretycznej nauki pożarnictwa, a Dr. Kielanowski z nauki o pomocy w nagłych wypadkach. Następnie Dr. Dulęba egzaminował z nauki o organizacyi Kółek rolniczych i ochotniczych straży pożarnych, oraz o obowiązkach lustratorów i instruktorów Kółek rolniczych. Na tem zakończył się egzamin teoretyczny, który wypadł ze wszystkich działów nauki znakomicie. Uczestnicy udali się następnie na miejską strażnicę pożarną, gdzie odbył się egzamin praktyczny z pożarnictwa, poczem uczestnicy wraz z zaproszonymi gośćmi udali się znowu do szkoły imienia Staszica na zakończenie kursu. Tam przemawiali; prezes poseł Cielecki, wiceprezes krajowej Rady szkolnej Dembowski i Dr. Dulęba, a wkońcu rozdano świadectwa.

Ładnych posłów mają Rusini! Niektórych nazwiska są obelgą! Do sądu w Jabłonowie wpłynęła skarga o obrazę czci pewnego włościanina ruskiego na drugiego włościanina za to, że go w kłótni przezwał Trylowskim.

Dzielny czyn żandarma. W Wiśniowej obok Dobczyc, kiedy wieś cała była w niedzielę w kościele, czteroletni chłopiec, Stanisław Konieczny, babawiąc się nad wezbraną skutkiem ulewy rzeką, wpadł do wody i porwany falą począł tonąć. Na szczęście w owej chwili przechodził drugim brzegiem żandarm p. Ludkiewicz, który skoczył w wezbraną rzekę i z narażeniem życia zdołał nieprzytomne dziecko wyciągnąć na brzeg. Zastosowawszy sztuczne oddychanie, dzielny żandarm przywrócił chłopca do życia.

Napad na karczmę. Do karczmy we wsi Okleśna, koło Chrzanowa, przybyło wieczorem dwóch mężczyzn w ubraniach robotniczych i zażądało napoju i pokarmu. Gdy karczmarz upomniał się o zapłatę, przybysze dobyli rewolwerów i rozpoczęli strzelaninę, kierując strzały do karczmarza i jego żony. Dali sześć strzałów, z których jeden trafił w piersi żonę karczmarza i ciężko zranił. Jest prawdopodobne, że zbrodniarze wybrali się do karczmy w celach rabunkowych; przypadkiem przyszło do zbyt głośnego starcia, które zaalarmowało wieś i rabusiom przeszkodziło w zamiarze. Zbiegli w sąsiednie lasy. Jak przypuszczają, obaj pochodzą z Królestwa Polskiego.

Straszna śmierć. Włościanin Eliasz Pasławski, który żył w Ganiszczowie pow. liski, od roku z Katarzyną Cicio na wiarę, znęcał się nad nią w ten sposób, że powaliwszy ją na bronę, zwróconą zębami do góry, zadał jej kawałkiem drzewa takie rany, że Katarzyna wkrótce potem skonała. Nazajutrz rano znaleziono Pasławskiego, wiszącego na belku w stodole. Żył w grzechu i grzechem podwójnym życie zakończył.

Wielki pożar. Wielkie nieszczęście nawiedziło wieś Dachnów w powiecie cieszanowskim. Dnia 22 sierpnia o godz. 5 popołudniu wybuchł pożar w domu włościanina; w domiar nieszczęścia szalał wielki wiatr, który miotał iskry na pobliskie domy, tak, że w jednem oka mgnieniu cała wieś stanęła w płomieniach. Pożar trwał tylko trzy kwadranse, wszystko jednak zniszczył doszczętnie. Żadnego ratunku nie było i wszelkie wysiłki straży pożarnych, przybyłych na miejsce nieszczęścia, by ogień ugasić były daremne. Spaliło się 64 domów zamieszkałych przez 400 ludzi, całe mienie, płody rolne i bydło. Nieszczęśliwi ludzie obozują pod gołem niebem nago i boso, pozbawieni wszystkiego.

Rozbójnicy cygańscy. W ostatnich dniach grasowali w rozmaitych stronach Bukowiny i Galicyi wschodniej bandyci, którzy swymi śmiałymi napadami niepokoili mieszkańców tych okolic. Ostatni z napadów miał miejsce ubiegłego tygodnia we wsi Diatkowce odległej od Kołomyi o 4 kilometry, gdzie ośmiu drabów wtargnęło w nocy do składu propinacyjnego Izaka Freiera i usiłowano rozbić kasę wertheimowską. Mieszkańcy strwożeni w obawie o własne życie skryli się do jednej izby, pozostawiając mienie na łup bandytom, jedyny furman Freiera niejaki Mechel Drezdner, ojciec ośmiorga dzieci, usiłował spłoszyć bandytów, co mu się wprawdzie udało, został jednakże toporem tak poturbowany, że walczy między życiem a śmiercią. Nareszcie udało się żandarmeryi w Zabłotowie przychwycić bandę cygańską, złożoną z dziesięciu opryszków, którzy w karczmie tamtejszej próbowali sprzedać zegarek. Wszystkich dziesięciu skutych odwieziono na 4 wozach z dworca wprost do Diatkowiec, gdzie jedyny świadek, dogorywający Drezdner poznał złoczyńców. Nieszczęśliwy, nie mogąc mówić, na migi dał do poznania, że są to ci sami, których krytycznej nocy widział, ale że to nie wszyscy, bo było ich więcej. Wśród ogromnej ciżby odstawiono następnie bandę do aresztów śledczych tutejszego sądu. Są to cyganie rumuńscy.

Tęsknota do galer. Zdarza się często i w naszych stosunkach, zwłaszcza w czasie twardej zimy, że jakiś biedak, zaznawszy już rozkoszy więzienia, a nie mogąc na tym pięknym i szerokim świecie znaleźć kawałka chleba, ni dachu nad głową, stara się ponownie dostać do więzienia, jedynie w tym celu, by przez to umożliwić sobie wyżywienie. Zdaje się jednak, że nigdy jeszcze nie wydarzył się wypadek, o jakim właśnie donoszą z Paryża, by ktoś, wróciwszy świeżo z więzienia, już po kilku dniach złotej wolności, objawił gorącą chęć powrotu doń.

Aby zrozumieć tę oryginalną, niemal z szaleństwem graniczącą tęsknotę, należy uprzytomnić sobie okropny los straceńca, skazanego we Francyi na galery, czyli do przymusowych robót poza ojczyzną w koloniach zamorskich. Tylko najwięksi zbrodniarze bywają we Francyi skazywani na galery. Kara to istotnie okrutna. Dzień po dniu w klimacie zabójczym, musi taki skazaniec wykonywać najcięższe roboty, na noc krępowany ciężkimi łańcuchami, bywa nadto narażony na znęcanie się wpół dzikich dozorców, którym wolno zastrzelić skazańca w razie najmniejszego oporu, bez żadnej za to kary.



Otóż taki, niedawno, po dwudziestoletnim pobycie na galerach, uwolniony skazaniec, nazwiskiem Piotr Fanar, zjawił się przed paru dniami w jednym z komisaryatów policyjnych Paryża i padłszy do nóg komisarza, błagał go o odesłanie z powrotem na galery. Komisarz myślał z początku, że ma do czynienia z obłąkanym, wkrótce jednak przekonał się, że tak nie jest. Zaczął się rozpytywać, i co się okazało? Fanar podczas swych dwudziestoletnich robót przymusowych zaoszczędził był sobie skromną kwotę 656 fr., z którymi wrócił do Paryża, chcąc tu rozpocząć nowe, uczciwe życie. Niestety, zaraz na wstępie wpadł w ręce jakiegoś oszusta, który wyłudził od niego cały jego kapitalik, skutkiem czego znalazł się na bruku bez środków do życia i wpadł na rozpaczliwy pomysł, który przedstawił komisarzowi. Szczęściem trafił na człowieka zacnego, który zajął się jego losem i wynalazł mu pomieszczenie w domu ubogich.

Legendy o zaginionym arcyksięciu. Mimo, że zaginionego arcyksięcia Jana Salwatora, który, przybrawszy nazwisko Jana Ortha, odpłynął niegdyś do Ameryki Południowej i zniknął gdzieś bez wieści, urzędownie uznano już za zmarłego, to jednak do dnia dzisiejszego wyłaniają się co parę dni wieści, iż tajemniczy Jan Orth nie zginął, lecz żyje, a tylko dla jakichś nieznanych powodów ukrywa się przed światem... Co parę dni rozszerza się pogłoska o jakimś Angliku, Włochu lub Francuzie, który rzekomo widział Jana Ortha, a nawet z nim rozmawiał. Co więcej, w ostatnich dniach rozeszła się wieść, że Orth bawi to w Paryżu, to znów w Londynie, czy Neapolu... W ilustrowanych pismach zagranicznych pojawiły się nawet portrety Jana Ortha, tak, jak dzisiaj ma wyglądać. — Wszystkie te pogłoski przy bliższem badaniu okazały się jednak nieprawdziwemi i powstały już to z podobieństwa pewnych ludzi do zaginionego arcyksięcia, już też — co zasługuje na baczniejszą uwagę — paru oszustów pragnęło podszyć się pod nazwisko Jana Ortha i tem łatwiej dokonać jakiegoś szachrajstwa na wielką skalę. Tak naprzykład w Neapolu wypłynął niedawno temu niejaki »baron Otto«, który przez dłuższy czas twierdził, że jest Janem Orthem, a nazwisko »barona Otto« jest tylko przybranem. W sprawę tę wdał się konsul austro-węgierski — na jego żądanie aresztowano rzekomego Jana Ortha, który okazał się pospolitym oszustem i poszedł pod klucz.

Cholera w Rosyi wzmaga się w sposób zastraszający. Z jednej strony ciemnota ludu nie umiejącego czytać i pisać, z drugiej niedbalstwo i lenistwo urzędników rosyjskich przyczyniają się do szerzenia strasznej choroby. Niedawno naprzykład zdarzył się taki wypadek: Naczelnik ziemski powiatu bałaszowskiego nic nie robił dla ratunku, nie sprowadzał lekarzy, nie zakładał szpitala, nie pouczał ludności. Natomiast pomyślał o czem innem, gdy jeszcze nawet cholery nie było. Oto zarządził, aby zawczasu przygotowano trumny i wykopano doły dla tych, którzy mogą umrzeć na cholerę. Ta zapobiegliwość zastraszyła ciemną ludność i zaczęły się dziać awantury, ucieczki, pijaństwa i t. p. Komisya sanitarna zażądała wreszcie zasypania dołów a gubernator nakazał śledztwo.

Cholera w Rosyi zagraża najbardziej nam, zamieszkałym w Austryi, gdyż sąsiadujemy z cholerycznemi okolicami. W Wiedniu zdarzyły się już dwa wypadki cholery, na szczęście zawczasu odkryte. Z tego powodu dzienniki proponują, aby ze względu na niebezpieczeństwo, grożące ciągle Europie ze strony Rosyi, wszystkie mocarstwa złączyły się do wspólnej roboty dla zwalczania cholery w Rosyi. Gazety te piszą, że państwa powinny wysłać do Rosyi specyalną komisyę sanitarną, tak jak to zrobiono swego czasu w Egipcie. Nie można się bowiem zdawać na rosyjskie władze w tej sprawie. Trzeba raz uwolnić Europę od ciągłego niebezpieczeństwa, które jej tak często zagraża.

Niezwykły grad. Z pod Kiszyniewa w Rosyi donoszą: Niezwykłej wielkości grad pokrył ziemię warstwą o grubości pół łokcia, miejscami i grubiej. Wszystkie zboża w tem miejscu naturalnie zostały zniszczone.

Polacy w Ameryce. W Chicago założono w zachodniej dzielnicy miasta nową osadę polską. Tam wybudowano ogromny kościół pod wezwaniem św. Franciszka z Asyżu, oraz wielki gmach szkolny. Kościół poświęcony został przez biskupa-sufragana ks. Rhodego, Polaka.

Ubezpieczenie od deszczu. Osoby z miast, bawiące na świeżem powietrzu i utyskujące na niepogodę tegoroczną, mogą się pocieszać, że pomysłowi przedsiębiorcy wpadli już na pomysł przyjmowania ubezpieczeń od deszczu. Dotychczas ten rodzaj ubezpieczeń istnieje wprawdzie tylko w Anglii, na południowem i wschodniem wybrzeżu, między miejscowościami kąpielowemi, ale jeżeli okaże się praktycznem, może się niebawem i dalej rozszerzyć. Za opłatą premii 6 koron miesięcznie daje Towarzystwo ubezpieczeń codziennie 10 koron wynagrodzenia, jeżeli w ciągu tygodnia jest więcej niż dwa dni deszczowe. Choć zatem deszcz pada, goście z miasta mają na pociechę trochę pieniędzy. Rolnikom jeszcze więcej przydałoby się takie ubezpieczenie, zwłaszcza, gdy panują długotrwałe deszcze.

Niezwykły wyścig. Anglicy lubią bardzo urządzać rozmaite zabawy i ćwiczenia, grają w rozmaite gatunki piłki od młodości do starości, ścigają się, skaczą przez przeszkody, podnoszą ciężary itp. Ćwiczą się tak dla własnej przyjemności, a od czasu do czasu urządzają publiczne popisy, na które schodzi się mnóstwo ludzi. Każde miasto ma swoje place, otoczone trybunami (takie, jakie widzieliśmy na błoniach krakowskich podczas obchodu grunwaldzkiego). Publika tłumnie zasiada na ławkach dookoła i z góry przypatruje się, jak na boisku w środku odbywają się gry, wyścigi i t. p. Oprócz zwykłych zabaw, wymyślają czasem coś nowego, aby okazać wprawę w jakiemś ćwiczeniu, a także urozmaicić je.



Takiem było wyścigowe robienie.... placka, które odbyło się niedawno w Londynie. Zrobiono to tak: Ustawiono rzędem młode panny, chcące wyjść za mąż. Wszystkie na dany znak ruszyły pędem z miejsca, pobiegły 100 kroków do długiego stołu, na którym przygotowanych było tyle kupek mąki, ile było panien; koło każdej kupki leżały jaja, mleko i wszystko, co było potrzebne do zrobienia ulubionego w całej Anglii placka, zwanego »puding«. Panny, przybiegłszy, zaczęły na gwałt rozrabiać i miesić ciasto, a po skończeniu każda odwracała się od stołu i wracała na swoje pierwsze miejsce. Ta, która przybiegła pierwsza, dostała pierwszą nagrodę, druga drugą i tam dalej. Był to egzamin z biegania prędkiego i z gospodarności. Uciechy i śmiechu było przy tem co niemiara.

Narodziny syna przywróciły ojcu wzrok. Przed pięciu laty niewidomy muzyk Peter Majard w Ameryce poślubił ubogą, lecz piękną panienkę. W tym roku przyszedł temu małżeństwu na świat pierwszy syn, co tak ucieszyło i wzruszyło niewidomego ojca, że odzyskał cudem wzrok. Podwójna więc radość zapanowała w tym szczęśliwym domu: z narodzin syna i odzyskania zupełnie wzroku przez ojca. Szczęśliwy Majard powiada, że żona jego jest piękniejszą, niż ją sobie wyobrażał, będąc niewidomym, więc szczęście jego jest potrójne. Majard stracił wzrok mając lat dziesięć, gdy go piłka uderzyła w oko. Rodzice jednak dali go wykształcić na muzyka i zarabiał on niezłe pieniądze graniem.

Śmierć niezwykłego człowieka. W Somervil w Ameryce, zmarł niejaki Silos Hofman, starzec 67 lat liczący, który przez 30 lat nie przemówił ani słowa, choć mowy nie stracił i tyleż lat przeleżał w łóżku, choć był zdrów kompletnie, z wyjątkiem kilku dni ostatnich. Przed laty 30-tu zabrano mu gospodarstwo za długi i od tej pory zrujnowany materyalnie biedak obrał sobie taki tryb życia, leżąc w łóżku i nie mówiąc ani słowa do nikogo. Doglądała go jedyna siostra, a na utrzymanie dziwaka płacił powiat, gdy go nie można było nakłonić do innego trybu życia. O wiele lepiejby było, gdyby był wytrwałości swej użył do pracy.

Umarły jeździec. Pisaliśmy, że niedawno, w miesiącu czerwcu i lipcu roku bieżącego panowały w Ameryce straszne, niepamiętne upały. Ofiarą ich padły setki ludzi zmarłych i tysiące chorych. Do tych ofiar należał i niejaki Smith, właściciel folwarku czyli po amerykańsku fermer z okolicy Bostonu. Śmierć z udaru słonecznego spotkała go gdy siedział na koniu i jechał do miasta. Mimo że już skonał, nie stracił strzemion z pięt i nie wypuścił cugli z rąk i jechał na spokojnym koniu przez trzy kwadranse. Tak dojechał do miasta. Policyanci widzieli go, ale żadnemu nie przyszło do głowy, że ten cicho jadący jeździec,



ze spuszczoną głową, nie żyje. Myśleli, że śpi. Dopiero gdy przejeżdżający samochód spłoszył konia, który skoczył — nieszczęśliwy nieboszczyk wyrzucony z siodła, legł na ziemi. Ludzie się zbiegli i zobaczyli, że już nie żyje.

Miasto podmorskie. Na wybrzeżu tunetańskiem (w Tunezyi) odbywały się przed paru tygodniami ćwiczenia nurków. (Jak nurkowie wyglądają wiedzą czytelnicy *Roli* z obrazków w *Tajemnicach Morza).* Gdy jeden z nich przez dłuższy czas nie wypływał na powierzchnię, kilku towarzyszy puściło się w głąb morza i ku wielkiemu swemu zdumieniu znalazło mniemanego topielca spacerującego po... świątyni podmorskiej. Nurkowie znaleźli na dnie morskiem dosyć jeszcze dobrze zachowane ściany budowli i posągi, świadczące, że w miejscu tem stało przed wiekami miasto. Francuskie ministerstwo oświaty postanowiło wysłać uczonych celem poszukiwania dalszych śladów podmorskiego miasta.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Władysław Stefański z G.).

Pierwsze z drugiem o koniach mówimy,
Drugie z trzeciem w podziwie krzyczymy,
Pierwsze z trzeciem wyroki spełniają
Śmierci. Całość na wózki wołają.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Stanisław Włodarczyk z B.).

Jak na zadku, tak na przodku
»N« podwójne jest w pośrodku

3. SZARADA.

(Nadesłał Władysław Ćwieka z T.).

Człowieka szpeci pierwsze i trzecie,
Drugie i trzecie, to zwierz ma przecie,
Całość dobra potrawa,
Na obiad się ją dawa.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy w nagrodę oprawną książkę J. Vernego p. t. ***Promień zielony.*** Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli.* Termin nadsyłania rozwiązań do 10 września — Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 34 *Roli:* 1. Zagadka: **Smyczek,** 2. Łamigłówka: **Aleksander,** 3. Szarada: **Zarzewie.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Koński ogon zajęczy na skrzypcach po stronie;
Aleksander, król polski, zasiadał na tronie;
Niebezpieczne zarzewie co drzemie w popiele,
Ja się o miliony dopominam śmiele —
Nie wiem w której je kasie umieszczę bezpiecznie,
Lecz pięćset milionów muszę mieć koniecznie!
Gdy już milionerem Lipowiak zostanie
Powie mu Maciek Bzdura: »Wielemożny Panie!«

Piotr Lipowiak.

2.

Koło pierwszej zagadki trochę pomyślałem —
Za ten przedmiot smyczek od skrzypiec obrałem
Jaki ogon »zajęcy« jest to wyraz skryty
To z pewnością »koński« do smyczka użyty.

Co do łamigłówki to jest trudna rada?
Tu trzeba pomyśleć każdy odpowiada,
Lecz, gdy dobrze myśli swoje namęczymy
Imię Aleksander światu objawimy.

Lecz nie wszystko jeszcze — jest trzecia szarada!
I z tą jest prawdziwa z rozumem narada,
Lecz za taką książkę wszystko da się zrobić
A nawet zarzewie z popiołu wydobyć.

Jan Łojek z R.

3.

Koński ogon »zajęcy«
Smołą pomazany,
Na »drzewianej obręcy«
Po kiszce baraniej.

Adam jeździł po lodzie,
Ludzie kąpią się w wodzie,
Echo z lasu wiatr niesie,
Kura kopę jaj zniesie,
Sanki kupił w Nieświerzu,
Amen mówił w pacierzu,
Noga siedziała w bucie,
Dumała o kogucie,
Ewa jabłko zerwała,
Roku jeszcze nie miała.

Wieże broniły zamków; a na szachownicy
Biją wszystko przed sobą, biją na przecznicy.
Kurek kręci się z wiatrem na kościelnej wieży.
Zarzewie pod popiołem, świeżym w piecu leży.

Franciszka Andrusikiewicz.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP. Michał Dudek z Ż., Józefa Hirszberg z K., Józef Krukurka z K. Adela Bezokówna z K. m., Michał Pietryka z B., Jakób Wiśniowski z G., P. Kiczek z G., Karol Baron z P., Antoni Małecki z L., Fr. Migdał z S.

Nagrodę: ***500 milionów Begumy*** wylosował p. **Józef Krukurka** z K.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. Piotr Lipowiak w L.: Wierszyki Pańskie, jako ładne, chętnie drukujemy, prosimy więc nadesłać. — T. Stypa w T. Ten, o którego Pan pyta, jest gospodarzem w Przyłęku, poczta Trzęsówka. Wł. Stefański w G. W pierwszej szaradzie pomyłka — druga w numerze. — Jerzy B. Sittauer w T.: Dziękujemy. — Józef Kiełbasa w U.: Odpowiedzieliśmy kartką. — Dawid Felczer w P.: Wysyłamy najregularniej, więc ginąć nie powinna. Musi być w drodze jakiś lubiący bezpłatnie czytać. — Tomasz Gronek w Szcz.: Wstrzymane numera wysłaliśmy, a wstrzymujemy dlatego, gdyż wielu pobiera *Rolę*, a o pieniądzach ani nie myśli. — Andrzej Pieróg w K.: Za pośrednictwo serdecznie dziękujemy. — Tomasz Chodór w O.: Wysyłamy na okaz. — Zarząd Kółka rolniczego w R.: Prośby mimo najszczerszych chęci uwzględnić dopóty nie możemy, dopóki nie otrzymamy prenumeraty. Wtedy zaległe numera wyślemy. Inaczej postępować nie możemy, gdyż mamy przez to trudności i nieporządki w administracyi. — Adam Świątek w S.: Bardzo na przykro, że *Rola* ginie, ale to już nie nasza wina, gdyż my ją wysyłamy najregularniej. Proszę zwrócić się z zażaleniem do poczty. — J. Kobylański w B.: 6 numerów kosztuje 60 hal. — za darmo posyłać nie możemy, chyba z końcem roku, gdyby zostało numerów, a Pan nadesłał na przesyłkę. — Wiktor Izdebski w T.: Numera od początku roku mamy i wyślemy je chętnie, ale dopiero po otrzymaniu pieniędzy za cały rok w kwocie 4 Kor. Im prędzej pan nadeśle pieniądze, tem prędzej otrzyma numera.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Michał Krupa z St. S. (2 K.), G. Jochnowicz z Ch. (1 K.), Jędrzej Klisiewicz z B. (2 K.), Franciszek Zyguła z Ł. (2 K.), Jakób Bakalarczyk z K. (2 K.), Jan Sabat z K. (2 K.), Gródek Piotr z B. (1·10 K.), Matyka Adam z S. (2 K.), Przychocki Ignacy z Ł. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 30 sierpnia:

Buhaje	Kor.	200	do	390	za sztukę
Woły	„	225	„	390	„
Krowy	„	100	„	210	„
Jałówki	„	70	„	200	„
Cielęta	„	30	„	70	„
Owce i kozy	„	18	„	34	„
Świnie (bita waga)	„	154	„	170	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 30 sierpnia:

Pszenica	Kor.	9·45	do	10·—	za 50 kg.
Żyto	„	6·80	„	7·25	„
Jęczmień	„	6·60	„	7 —	„
Owies	„	7·20	„	7·50	„
Otręby pszenne	„	4·60	„	4·75	„
Otręby żytnie	„	4·60	„	4·70	„

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i  bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada); do Ameryki południowej**: Argentyny, Brazylii i t. d.

w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.

Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

ROZKŁAD JAZDY:

a) Z Tryestu do Nowego Jorku:

Atlanta	3 wrześ.
Oceania	10 wrześ.
Alice	17 wrześ.
Martha Washington	24 wrześ.
Columbia	1 paźdz.
Laura	22 paźdz.
Oceania	29 paźdz.

b) Z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro:

Francesca	8 wrześ.
Columbia	29 wrześ.
Argentyna	6 paźdz.
Sofia Hohenberg	20 paźdz.

Informacyi udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Americany (Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe) ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

Dla Galicyi wschodniej:

Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.

Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany, II. Kaiser Josefstr. 36. (79-6-24)

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

Ja Anna Csillag

z moimi **185 centymetrów** długiemi **olbrzymiemi włosami Loreley**, dostałam je po **14 miesięcznem** użyciu **przezemnie wynalezionej pomady.** Uznano ją za jedyny środek przeciw **wypadaniu** włosów, **wzmożeniu wzrostu** tychże, wzmocnieniu skóry owłosionej, wywołuje **u Panów** pełny **silny zarost brody** i użycza już po krótkim użyciu tak **włosom na głowie** jakoteż **na brodzie** naturalnego **połysku i obfitości** i chroni przed **przedwczesną siwizną** aż do najpóźniejszego wieku. Żaden inny środek nie posiada tyle materyi odżywczej dla włosów co pomada Csillag, która zupełnie słusznie zdobyła sobie światową sławę, gdyż Panie i Panowie już po użyciu pierwszego słoika pomady osiągają najlepszy skutek, ponieważ już po kilku dniach włosy nie wypadają a nowe rosną. (67—13-30)

Cena słoika 2 K., 4 K., 6 K., i 10 K. Pocztowe przesyłki codziennie po nadesłaniu należytości, albo **za zaliczką** na cały świat z mojej fabryki, dokąd nadsyłać zamówienia.



Anna Csillag, Wien I. Kohlmarkt 11.

Karty okrętowe!

POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE otrzymawszy od rządu potrzebną koncesyę, otworzyło w Krakowie **ul. Radziwiłłowska Liczba 21** (dom własny) własne

BIURO PODRÓŻY

gdzie sprzedawane są karty okrętowe do wszystkich portów zamorskich, północnej i południowej **AMERYKI.** Wychodźcy, zwracający się do tego biura, otrzymają rzetelną poradę i unikną wyzysku i strat.

Założone dla opieki nad wychodźcami Polskie Tow. Emigracyjne w Krakowie ułatwia znalezienie pracy w kraju i zagranicą i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro pośrednictwa pracy; opiekuje się ono także wychodźcami, udającymi się za morze, pouczając ich, kiedy, jak, którędy i dokąd jechać należy, i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego i koncesyonowane biuro podróży; dla Polaków przebywających na obczyźnie utrzymuje przy głównem swem biurze bezpłatną wypożyczalnię książek; wydaje własną gazetę, poświęconą sprawom wychodźtwa p. t. »Polski Przegląd Emigracyjny«; utrzymuje bezpłatne biuro porady prawnej dla wychodźców ułatwia im nabywanie książek, wypisywanie gazet, zakładanie towarzystw oraz załatwianie rozmaitych spraw w kraju, utrzymuje własne biura za granicą, wydaje przewodniki po obcych krajach i słowniki cudzoziemskich języków, ułożone dla użytku polskich robotników itd. itd. P. T. E. jest instytucyą bezpartyjną, mającą na celu wyłącznie dobro polskiego społeczeństwa i polskich wychodźców. Kto więc udaje się na obczyznę lub wyjeżdża do Ameryki, powinien przedewszystkiem zwrócić się do

Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 21. 60-10

(Na dworcu kolejowym krakowskim stale przebywa przy nadejściu pociągu wysłaniec Towarzystwa w uniformie z literami P. T. E).

Policyant: (do śpiącego na ulicy) — Człowieku! Tu nie możecie spać!
Śpiący: — Dlaczego nie? I owszem! O! patrz pan! To rzekłszy począł spać dalej.

— Dla czego ty, Maćku zawsze kłamiesz?
— A juści, nie mam łgać? Raz powiedziałem okumanowi prawdę, że jest złodziej, tom za to bez trzy dni w kozie siedział.

— Co to znaczy, że wasza już pół godziny rozmawiają z sąsiadką na podworcu?
— Prosiliśmy, żeby weszli do izby, ale nie mają ani minuty czasu.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.